

ROZDZIAŁ PIERWSZY

OD NIEPAMIĘTNYCH CZASÓW



NARÓD ŚPIEWA, *ALE ZNAMY JUŻ TWOJĄ HISTORIĘ.*
WSZĘDZIE BIJĄ DZWONY.

DZWONY KOŚCIOŁA WZYWAJĄ WIERNYCH DO TABERNAKULUM,
GDZIE OTWORZĄ SIĘ PRZED NIMI BRAMY NIEBIOS, ALE NIE
PRZED TYMI, KTÓRZY SĄ ŻLI. WZYWAJĄ NIEWINNE, CZARNE
DZIEWCZĘTA Z ODLEGŁEJ SPOŁECZNOŚCI, GDZIE NIGDY NIE
PRZYSIADA BIAŁA GOŁĘBICA Z GAŁĄZKĄ OLIWNĄ. DZIEWCZĘTA,
KTÓRE WRACAJĄ W NIEDZIELĘ DO DOMU PO KOŚCIELE,
ROZGLĄDAJĄ SIĘ DOOKOŁA, PATRZĄ NA LUDZI, KTÓRZY
PRZYPOMINAJĄ RADIOAKTYWNY OPAD I MÓWIĄ RZECZOWO:
TUTAJ ZACZYNA SIĘ ARMAGEDON.

Wąż przodków, większy niż burzowe chmury, przybył z gwiazd,
uginając się pod ciężarem własnych stwórczych mocy. Poru-
szał się wdzięcznie — gdyby obserwować go z lotu ptaka,
patrzącego na wilgotne ciało, lśniące od pradawnego słońca
— na długo zanim człowiek mógł zacząć mierzyć upływ cza-
su. Przybył miliardy lat temu, by czołgać się na ciężkim brzu-
chu po wilgotnej, gliniastej ziemi zatoki Karpentaria.

Obraz stwórczego węża, wcinającego się głęboko gładkim
cielskiem w śliskie głębie błotnistych terenów, zostawiające-
go za sobą grzmiące tunele, które zapadały się, by utworzyć
głębokie doliny. Szły za nim morskie wody w szaleństwie
przyplływów, które wkrótce zmieniły swoją barwę z błękitnej
na błotniście żółtą. Tworzyły wijące się trasy olbrzymich rzek,
które przecinały równiny przy zatoce. Wąż pełził przez nad-
morskie tereny, solne ławice i wydmy, namorzyny i dalej

w głąb lądu. A potem wrócił do morza. Pojawił się w innym miejscu na wybrzeżu i znowu przepęłzył po ziemi, i wrócił do wody. Kiedy już utworzył za sobą wszystkie rzeki, została mu jedna, ani większa, ani mniejsza od innych — rzeka, która nie wybacza ludziom, którzy jej nie znają. Tam właśnie głęboko pod ziemią, wśród wapiennych skał żyje olbrzymi wąż. Powiadają, że ma porowate ciało i że wszystko przenika. Jest w powietrzu i przylgnął do życia ludzi znad rzeki niczym skóra.

Oddech węża przyplywowej, błotnistej rzeki jest tak olbrzymi, że trudno to pojąć. Wyobraźmy sobie, że jego rytm odpowiada przyplywom, które wdzierają się w głąb lądu, niemal docierając aż do źródeł, usadowionych wygodnie w wąwozach pradawnego, wapiennego płaskowyżu, pokrytego uschniętą żółtą trawą, szeleszczącą w przeważających tam wiatrach. Przy wydechu fala cofa się, a wąż wraca do swoich płytkich wód w olbrzymim basenie w zagłębieniu terenu, za którego brzegiem znajduje się otwarte morze.

By pochwyć ten oddech rzeki, trzeba cierpliwości człowieka, który może spędzać dni na próżnowaniu. Jeśli czekamy pod rosnącymi na jej nadbrzeżu eukaliptusami, gdzie te łobuziaki z misji powiesiły niechcący tę płaksę Sally, koniec uschniętej gałęzi pokaże nam miejsce, przez które przedzierny wietrzny tunel oddech węża, tworząc zmarszczki na lśniącej srebrem powierzchni, przypominające łuski małego nocnego węża, rzucającego się z wściekłości, kiedy światło uderza w jego śliskie, półprzezroczyste ciało, zanim zniknie w ciemnościach swego naturalnego środowiska.

Ta poufna wiedza na temat rzeki i przybrzeżnych terenów jest Prawem Aborygenów, przekazywanym z pokolenia na pokolenie od początku czasu. Inaczej skąd można by wiedzieć, jak szukać ukrytych podwodnych biegów rzeki na zalanych, pełnych węży i ryb błotnistych równinach w czasie pory deszczowej? Czy ktoś, kto nie żył na tych czasami pokrytych wodą, to znowu suchuteńkich terenach, może wiedzieć,

kiedy spotkają się w lecie pasaty wiejące znad południowej i północnej półkuli? Rozpoznać chwilę zmiany klimatu lepiej niż żyjący tam ludzie? Łowią oni ryby w żółtych, monsunowych wodach zalewowych, które wypełniły się głęboką wodą, która przelała się przez brzegi szerokich rzek. Cyklony utrzymują się i przesuwiają, wciąż leje deszcz, ale pełno tam tłustych ryb.

Potrzeba szczególnej wiedzy, by żyć z rzeką, niezależnie od jej nastroju. Chodzi o to, by nie było żadnego rozdźwięku między nami a ruchami wody, wywołanymi zmianą pór i nastrojem rzeki. Rzeka, która zmusza ludzi do wysiłku, stanowi dramatyczny gest porzucenia kochanka, którego się nigdy naprawdę nie znało, tak jak to nastąpiło w wypadku granicznego miasteczka, wybudowanego na jej nadbrzeżu u szczytu kolonialnej gorączki. Miało ono pełnić rolę portu dla statków handlowych, które powinny dopływać do odległych terenów północnej Australii.

W pewnej chwili ubiegłego wieku w czasie pory deszczowej rzeka wycofała stamtąd swoje wody, zmieniając swój bieg o parę kilometrów. Ot tak, po prostu. Teraz w porcie bez wody nie ma nic do roboty. Jego mieszkańcy wiodą ze sobą dialog, przekazywany z pokolenia na pokolenie, na temat tego, po co w ogóle istnieje to miasteczko. Zostali w nim, by bronić północnego wybrzeża przed żółtą zarazą. Straszna wizja: tyraliera Chińczyków z bronią, zmierzających wprost na miasteczko Desperance. W końcu gorączka opadła. Kiedy Chińczycy się nie pojawili, mieszkańcy zaczęli rozglądać się dokoła i znaleźli bardziej doraźne powody trwania na posterunku. Oznaczało to, że nadal trzeba uważać. Ten obowiązek nie dotyczył jednostek, ale wszystkich mieszkańców. Trzeba było uważać na to, co się działo, dać świadectwo temu, co przekraczało osobiste doświadczenia i — pilnować czarnych. Uznano to za wkład w rozwój gospodarczy kraju, a potem, po namyśle, za próbę utrzymania zdrowego społeczeństwa i, ogólnie rzecz biorąc, narodu.

*

Normal Phantom był starym Aborygenem, który przez całe życie mieszkał w gęstych zaroślach Pricklebush na obrzeżu miasteczka. Żył w gąszczu cienkich, niemal bezlistnych zarośli, których cierniste gałęzie nie dawały cienia nawet mrówce. Ta obca plaga na obrzeżach Desperance pojawiła się w czasach, których nie mógł pamiętać żaden członek rodziny Phantoma. Od jego urodzenia mieszkali niedaleko wysypiska przy końcu miasta. Wszyscy sfoczeni w zrobionych z metalowych, szmacianych i plastikowych odpadków chatach. Potomkowie rodzin pionierów, którzy uważali się za właścicieli miasteczka, twierdzili, że „Aborygeni nie są tak naprawdę jego częścią”. Jasne, dawniej czyścili latryny, zbierali śmieci i sprząтали ulice. „Co więcej — powiadali — Aborygenów zostawili tutaj farmerzy, bo nie chcieli płacić czarnym równych stawek, nawet kiedy zaczęto tak robić. I to tuż pod miastem, które należało do kogoś innego”. Zostawili ich tak bez nadzoru, bydła czy wody.

Nie, Pricklebush istniał na długo przed tym, zanim pojawiły się tam samochody, kiedy towary i sprzęty dostarczano na wielbłądach, aż Abdul i Abdullah, dwaj bracia Afgańczycy, zniknęli gdzieś na szlaku zwanym „linią ratunkową”, łączącym północ z południem. Po dłuższym czasie zaczęły krążyć żarty na temat tego, że Afgańczycy byli „podejrzanyimi psami”, „zmiennymi psami”, „morderczymi psami” i „że nie można im było ufać”. Kiedy kredensy zaczęły świecić pustkami, mieszkańcy zrozumieli, że bracia już nie wrócą, i uznali też, że najprawdopodobniej zginęli. Paru prawdziwych chrześcijan, starając się wykorzystać ogólny brak przyzwoitości w miasteczku, kręciło nosem: „No, to was powinno nauczyć, co?”. Jednak nikt inny tak nie myślał, bo zaczęto wówczas przywozić grog i jedzenie pocztową furgonetką, co wszyscy uznali za nieporównywalnie lepsze rozwiązanie.

Którejś pochmurnej nocy wielbłądy pojawiły się jednak w Desperance, wydzwaniając zawieszonymi na szyjach egzo-

tycznymi dzwonekami, jakby w tej ciszy nocnej wzywały na nieszpory. Mieszkańcy pobudzili się z dziecięcym strachem, siadali wyprostowani na łóżkach z szeroko otwartymi oczami, jakby byli zombie, i patrzyli na czarne postaci w swoich pograżonych w ciemności sypialniach, rozpoznając jednocześnie duchy z afgańskim zapachem, dobry Boże, które nagle się pojawiły, lewitowały, zabierały, częstowały się, chodziły po domach, „wyobraźcie sobie” zupełnie nie pamiętając o dobrych manierach. Nie pukały nawet do drzwi, zanim weszły. Wszyscy w miasteczku stwierdzili, że na tym właśnie polega problem z nowymi Australijczykami: „Nawet martwi są całkowicie pozbawieni dobrych manier”. Nienaturalizowani. Tak naprawdę nie-Australijczycy. „Trzeba było za nimi wysłać jakichś ludzi na poszukiwanie”. Z jaką ulgą stwierdzili rano, że były to jedynie biedne, stare wielbłądy Abdula i Abdullaha.

Przez następne dni nikt nie myślał o tym, by schwytać zwierzęta i odzyskać przytroczone do siodeł gnijące paczki. Ludzie z miasteczka mieli głęboką awersję do dotykania czegoś, co należało do ciemnoskórych cudzoziemców — albo ich zwierząt. Wielbłądy spacerowały więc samopas, pokryte ranami, ponieważ dźwigały na grzbietach paczki z mąką, cukrem, ziarnem, które zaczęło kielkować, a następnie obumarło, aż w końcu coś trzeba było z nimi zrobić. Otoczono więc biedne stworzenia w oficjalnej nagonce. Oporne, wydające dzikie odgłosy zwierzęta nie rozumiały angielskiego, jak również barbarzyńskiego postępowania. Po tym, jak przesładowcy ścigali je pieszo i konno przez parę godzin, bijąc je przy tym batogami i rzucając w nie kamieniami, dały się w końcu zapędzić na gliniaste niecki, gdzie je zastrzelono. W archiwach spisanych grubą stalówką ciężką ręką miejskiego urzędnika widnieje informacja: „Wielbłądy usunięte”. Była to pierwsza praca rady miejskiej Desperance.

W czasie pory deszczowej w dawnych obozowiskach poganaczy wielbłądów nasiona mimozy z wielbłądziego nawo-

zu wypuściły swoje twarde pędy. Wzdłuż szlaków i rowów rozniosły się tysiące nasion, najpierw zalanych deszczami, a następnie dochodzących do siebie w płytkich, błotnistych kałużach. Pędy wypuściły grube korzenie, by wpiły się w brzeży zagłębień, trzymając tę ziemię razem i dając złudzenie, jakby mogły wytrzymać wieczność bez wody. Ulegli mu hodowcy bydła, którzy przejęli ziemię tradycyjnych właścicieli, chociaż ci nigdy im ich nie dali. Obecnie stada bydła rasy brahman schodzą ze swoich szlaków, by w porze suchej odnaleźć szczeciaste kępy wiechliny i przeżuwać górne warstwy ziemi, aż do tej sproszkowanej i twardej.

Ludzie z Pricklebush mówią, że Normal Phantom potrafił uchwycić myślą istotę rzeki i żyć z nią tak, jak żyli przed nim ojcowie jego ojców. Jego przodkowie byli ludźmi rzeki, którzy żyli z nią, zanim jeszcze zaczął się czas. Normal był niczym wody przyływu, przybywał i odpływał wraz z wodami rzeki wprost do morza. Pozostawał na wodzie tak długo, jak chciał. Znał się na rybach i przyjaźnił ze strzępielami wielkimi i dorszowatymi zatoki, które pływały w ławicach liczących po pięćdziesiąt i więcej sztuk, i wpływały do rzeki, by mu towarzyszyć. Starzy ludzie powiadają, że strzępiele żyją setki lat, i może tak samo będzie z Normalem. Kiedy mówił o gwiazdach, wiedział o nich tyle samo, co o wodzie. Ludzie z ciernistych zarośli mówili, że zawsze ścigał gwiazdne konstelacje: „Widzieliśmy, jak w dzieciństwie biegł w nocy, próbując złapać gwiazdy”. Byli pewni, że zna sekret, jak się do nich dostać. Myśleli, że musi iść prosto do nieba wraz ze strzępielami w czasie burzy, kiedy to morze i niebo stawały się jednym, bo jak inaczej udawałoby mu się wracać?

Wszyscy zadawali mu pytanie:

— Jak ty to robisz?

— Nie boję się wody — odpowiadał po prostu Normal Phantom, chociaż wiedział, że kiedy jego umysł wybierał się na wycieczkę, ciało szło za nim.

Wszyscy w Desperance przyzwyczaili się do widoku jeepa Normala, którym jechał na północ, nad brzeg rzeki. Był to jedyny samochód, jaki kiedykolwiek miał. Na jego dachu znajdowała się zawsze blaszana łódeczka z wgnieceniami i kilkoma dziurami po zabłąkanych kulach. Kupił ją bardziej z myślą o tym, by się przemieszczać po kraju, niż o bezpieczeństwie na wodzie.

Podobno znał te głębokie, błotniste wody lepiej niż krokodyle, które w środku nocy wplątywały się w sieci. Szklistokie potwory, które podpływały do jego maleńkiej łódki, chcąc zmierzyć się z tym wielkim człowiekiem rzeki. Rozwierały i zamykały szczęki, gotowe na wszystko, zalewając gniewnym biciem swoich ogonów małą łódkę. Ludzie lubią wspominać, że Normal mówił melancholijnie (naśladując całkowicie nowoczesną, zamerykanizowaną wersję Kapitana Hooka), że te szczęki znaczyły dla niego tyle co nic. Jednocześnie poruszał się jak skaczący zając, szukając, jak się zdawało, całymi wiekami swojej strzelby. W ten sposób zakończył życie setek tych prehistorycznych skamienielin — celował we wzburzoną wodę, widząc grubą skórę, aż w końcu udawało mu się uchwycić w mgnieniu księżycy parę ślepi gada, między które strzelał.

Z tej poza tym spokojnie żyjącej społeczności, która liczyła trzystu mieszkańców, nikt nie pamiętał, jak wcześniej wyglądał port. Nie można było powiesić żadnej fotografii w gablotce w muzeum z niezbyt licznymi pamiątkami, bo w czasie, kiedy zakładano miasteczko, nikomu nie przyszło do głowy, że warto robić zdjęcia. Jednak wszyscy wiedzieli, że rzeka należy do Normala.

Pewnego dnia ktoś, kogo imienia nie warto nawet wspominać, dogorywał w cichym stuporze, który nastąpił po fali upałów, i czekał na porę deszczową i pierwsze opady. Leżał przy tym płasko niczym trup na linoleum w korytarzu domku, który stanowił wierną replikę tego z sąsiedztwa. Westchnął

z ulgą, kiedy bryza od północy, która przebyła w rytmie walca dwadzieścia pięć kilometrów od morza przez błotniste tereny, wdarła się do wnętrza, oznajmiając świstem swe przybycie przy drzwiach od frontu, a następnie trzasnęła tymi od ogrodu. I nagle ten ktoś mało ważny pomyślał, że nazwę rzeki warto by zmienić na Normal. I tak też się stało w miasteczku, które niechętnie przyjmowało jakiegokolwiek zmiany.

Rada hrabstwa urządziła uroczystości z powodu stu lat istnienia portu. Zbiegły się one z krótkim okresem dominacji Aborygenów w radzie. „Nieszkodliwym oswajaniem krajowców” — jak mruzczyli społeczni planiści, chcąc koniecznie dojść z nimi do porozumienia w obliczu nadchodzącego boomu wydobywczego. Pełna zrozumienia koegzystencja powodowała, że łatwo można było uzyskać cokolwiek, choćby zmianę nazwy rzeki na Normal. W czasie tego miodowego okresu ci Aborygeni, którzy zdecydowali się na bycie radnymi, użyli mądrze władzy, by wydobyć swoje rodziny z biedy, przypominającej tę, w jakiej żyli ludzie Trzeciego Świata.

Wszystko to stanowiło istotną cechę podniecenia, jakie zapanowało w Desperance, kiedy w okolicy pojawiła się pierwsza międzynarodowa kompania wydobywcza. Powstało wiele doraźnych planów wzbogacenia się miejscowej ludności, po to, by przede wszystkim zadbać o interesy wielkiej kompanii, która chciała zacząć ograbianie regionu z jego największych skarbów — zachwalanych publicznie podziemnych minerałów.

Wyszukana, elegancka ceremonia, za którą zapłaciła kompania wydobywcza, przyciągnęła polityków z Południa, którzy przylecieli na nią do Desperance. Miejscowi dygnitarze uważali większość z nich za nicponiów. Co więcej, kiedy tamci zaczęli uśmiechać się na powitanie, niektórzy miejscowi szeptali za ich plecami pozbawione emocji, niezbyt pochlebne opinie na temat tych ważnych gości. Inni, którzy lubili brzmienie własnych głosów, przywitali ich od razu obelgami. Rozkrzyczany tłum podchwycił to, co niesły powiewy wiatru:

„Zawsze czołgacie się po ziemi. Czy jesteście najgorszymi politykami Australii? Tak! Płaszczycie się przed każdym zagranicznym inwestorem, który pojawi się w parlamencie, i wyciągacie ręce po pieniądze”.

Politycy i dyrektorzy kompanii zmieszali się niechętnie z tłumem, potem usiłovali dopchnąć się do bohatera minionych czasów, Normala, żeby zrobić sobie z nim zdjęcie. Reporterów fotografujących ten cyrk dowieziono specjalnie samolotami, które należały do kompanii. A potem wszystko zepsuła normalna burza piaskowa, która nadciągnęła od południa. Gruba ściana czerwonego pyłu mieszała się z przeróżnymi zmiażdżonymi roślinami i plastikowymi torbami, zniszczyła starannie przygotowane kanapki, a potem przeszła dalej. Zwykle nieporuszeni dorośli spanikowali i pobiegli się schronić wraz z poplamionymi czerwonymi i zielonymi napojami dziećmi, które nie przestawały krzyczeć.

Następnie przyszła wielka burza z wyładowaniami, a deszcz zniszczył to wszystko, co dało się zniszczyć — jak przepowiadali miejscowi sceptycy. Mimo tych trudności, były już premier stanu miał dosyć czasu, by dopełnić ceremonii zmiany nazwy rzeki z tej, którą nosiła po królowej, na „rzeka Normala”. Miejscowi Aborygeni, którzy przyszli na uroczystość, mamrotali: „*Ngabarn, Ngabarn, Mandagi*”, podobnie jak Normal, który czynił to głośnym i cierpkim głosem przez mikrofon, w ramach podziękowań, chociaż ci, którzy znali miejscowy dialekt, wiedzieli, że nie mówi: „Dziękuję, ach, dziękuję”, i zaśmiewali się do rozpuku, ponieważ rzeka od początku czasu miała tylko jedną nazwę. Nazywała się *W a n g a l a*.

Zabawna rzecz z tą rzeką. Wszystkim wydawało się, że mogą ją przebyć jak legendarny dziki koń, który nazywał się Diesel czy Gidgee, czy Mulga. W czasie długich weekendów ludzie zawsze jechali na północne wybrzeże wyboistymi drogami zatoki. Podjeżdżali wprost do brzegu żółtej rzeki i ruszali dalej łodziami rybackimi z nazwami jakby z muzyki country z lat sześćdziesiątych: „Donna”, „Stella” i „Trixie”. Były to

kolorowe łodzie, napędzane mocnymi silnikami, kupione za duże pieniądze, które zarobili, wydobywając spod ziemi ze skalnych pokładów bogate rudy, które wyglądały jak wielkie pierścienie potężnej, starożytnej istoty.

A po drodze zarzucali wędkę to tu, to tam, dysponując doskonałym rybackim sprzętem, ale zupełnie pozbawieni wiedzy na temat rzeki. Nikt o tym nie myślał. W regionie mieszkało teraz sporo osób, w tym napływowi robotnicy kompanii, którzy nie mieli co robić w dni wolne od pracy. Otwierano nowe kopalnie, nie pytając nikogo o zdanie.

Kiedy zaprzestano wydobywania, ani Normal Phantom wraz ze swoją rodziną, ani ich dawni lub obecni krewni nie doczekali się wzmianki w oficjalnej historii tego regionu. Nie istniał żaden uchwytny ślad ich istnienia. Nawet gdy chodziło o kolekcję łusek naboju wuja Micky'ego.

Micky miał, Bóg jeden wie jak długo, wykrywacz metali. Mówił, że trawi go gorączka, która popycha go do działania, bo nigdy by nie wiedział, gdzie znalazł ostatnie dowody: wszystkie te trzydziesto-trzydziestogranowe, czterdziestocztero-, trzystatrzy-, dwunastokalibrowe — wszelkiego rodzaju łuski po nabojach używanych do zmasakrowania miejscowej ludności. Miał mapy, nazwiska świadków, szczegóły, wszystkie te rzeczy. Chodząca encyklopedia. Obecnie jego głos żyje w zbiorach kaset, które zostawił na wypadek sądów wojennych, do których — jak przewidywał — dojdzie pewnego dnia. Ale turyści nie chodzą do muzeum Micky'ego. Być może dlatego, że wybudowano je w złym miejscu. Na tym właśnie polega walka. Walka, ciągła walka o kawałek ziemi i odrobinę uznania.

Wszystkie stare kopalnie, stary sprzęt wydobywczy, starych górników, ich chaty, szkielety w szafach, to wszystko, co wiąże się z górnictwem, opakowano w nic niemówiące słowa i wystawiono na pokaz w lśniących gablotkach jako najważniejszą z lokalnych turystycznych atrakcji. Lśniące okładki

tych broszur, opisujących wybrane historyczne miejsca i muzea, powinny przyciągać ludzi na lotniskach, w hotelach i motelach, a także w centrach turystycznych, gdzie wystawione na stojakach, mają reklamować górnictwo. Nie można ich nawet schować, bo tak błyszczą.

Ale to nie był wodewil. Na tych terenach prowadzono wojny. Każdy by krzyczał, gdyby zniszczono jego kawałek ziemi. Prawo węża przenika wszystko, nawet te czarne dziewczynki ze szczesanymi z twarzy i spiętymi do kościoła włosami, słuchające cicho narodu, który wydaje się wiedzieć wszystko poza tym, kiedy skończy się jego świat. Następnie, niemal szepcząc, pytają nieśmiało, czy sprawdziła się dzisiejsza prognoza pogody.

Jeśli lubicie odwiedzać cmentarze, zaczekajcie trochę, kiedy przyjeżdżacie na tereny ludzi rzeki. Kobiety i mężczyźni z zatoki, którzy zabrali do grobu swoje udręczone wspomnienia, być może wyjdą z błota i opowiedzą prawdziwą historię tego, co się tutaj zdarzyło.

ROZDZIAŁ DRUGI

ANGEL DAY



PEWNEGO WIECZORU W NAJSUCHSZYCH TRAWACH NA ZIEMI DZIEWCZYŃKA, KTÓRĄ ZNAŁ JEJ LUD, ZAPYTAŁA, CZY KAŻDY MOŻE ZNALEŹĆ NADZIEJĘ*.

LUDZIE PRZYPOWIEŚCI I PROROCTWA DŁUGO ZASTANAWIALI SIĘ NAD TYM, CO JEST BEZNADZIEJNE, AŻ W KOŃCU STWIERDZILI, ŻE JUŻ NIE WIEDZĄ, CO OZNACZA NADZIEJA. ZEGARY, TIK-TAK, TIK-TAK, WYGLĄDAŁY, JAKBY MIAŁO IM ZABRAKNAĆ CZASU. NA SZCZĘŚCIE SŁUCHAŁY TEGO DUCHY ZE WSPOMNIEŃ DAWNYCH LUDZI I POWIEDZIAŁY, ŻE KAŻDY MOŻE ZNALEŹĆ NADZIEJĘ W HISTORIACH: W HISTORIACH DŁUGICH, ALE TEŻ I KRÓTKICH, WIĘC...

Normal Phantom odwrócił się od chwały chmur burzowych, widocznych nad morzem, by złapać za rogi szare nieszczęścia ludzkiego życia i spojrzeć im prosto w oczy. Popatrzmy na jego zaciszny dom, ten zbudowany z ciągle grzechoczącej na wietrze blachy falistej barak, powstały z odrobiny wody święconej, zaklęć, duchów, obietnic z opakowań po farbie do włosów i innych porzuconych materiałów, które można znaleźć na wysypisku po drugiej stronie drogi. Ten dom miał numer jeden. Dom Normala Phantoma był pierwszym wybudowanym przez czarnego budynkiem na obrzeżach Desperance, jeszcze zanim dwa prowadzące wojnę narody, jeden z ziemią, a drugi bez ziemi, otoczyły całe miasteczko.

* Hope (ang.) to również imię jednej z bohaterek książki. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza.)

Jego małżeństwo z Angel Day okazało się szczytem rozczarowań i dopiero kiedy „odeszła”, Normal zdołał zrozumieć, że ta kobieta stanowiła w istocie prawdziwe gniazdo szerszeni, którego nie można było dotykać. Po trzech dekadach wspólnego życia ta jedna, niezależna myśl stanowiła prawdziwe objawienie dla kogoś tak ważnego jak Normal Phantom.

Sam dom był gniazdem szerszeni, podobnie jak jego żona, i Normal mówił o nim tak, jakby był Angel Day. Zbudowano go nieopatrnie nad gniazdem ducha węża. Normal zawsze winił o to Angel Day. Wiedział o tym od pierwszego dnia i zawsze to powtarzał:

— To przez ten dom bolą mnie kości.

Powiedział jej, że przeczuwał, iż coś jest nie w porządku, że miał wrażenie, iż coś przechodzi spod ziemi do jego kości. Nie chciała go słuchać. Jednak za każdym razem, kiedy wychodził z domu, wydawało mu się, że pozbywa się jakiegoś ciężaru, tak jakby zrzucał worek przytroczony do pleców. A kiedy wracał, czuł się tak, jakby go zahipnotyzowano i od tej pory musiał już myśleć, że nigdy nie zdoła się wyrwać z pola grawitacyjnego domu, nawet jeśli będzie próbował. Być może któregoś dnia utknie w nim na dobre. I co z tego? Powinien był to powiedzieć komuś, komu bardziej na nim zależało.

Wiedział, że takie rzeczy są możliwe, ponieważ za każdym razem, gdy wychodził, trudniej mu było wyrwać się z domu.

— Przeprowadźmy się — mówił.

Ale jeśli w ogóle go usłyszała, dawała na to swoją zwykłą odpowiedź i ucinała krótko:

— Nic z tego.

— Urodziłam się koło lili, więc muszę widzieć lilie — powiedziała mu kiedyś, spokojnie wydymając wargi w stronę lili wodnych, które rosły na mokradłach na tyłach, a kiedy skończyła, nie było już sposobu, by wydobyć jakąś inną opinię z jej słodkich ust.

Trzeba oddać jej sprawiedliwość, Angel Day długo szukała terenu, który nazwała „swoim miejscem”, a w dodatku

wykazała dużą bezczelność, uważając, że może wybrać dla nich kawałek ziemi w buszu i powiedzieć: „To jest moje”. Cóż! Ona tak zrobiła i w dodatku jej się udało. Wybrane przez nią miejsce znajdowało się w zagajniku opuncji, koło mokradła, gdzie wylęgały się moskity. Powiedziała, że o wyborze miejsca zdecydowało to, że było ono odosobnione i niewidoczne od strony drogi. Później, wciąż zgrzana i zmęczona szukaniem, osiadła w jednym miejscu.

Pierwszych sześcioro dzieci siadywało obok niej w cieniu eukaliptusa *brevifolia*, aż w końcu zdecydowała się utworzyć z dwóch koców bardziej trwałe zadaszenie. Tylko tyle miała, ale to jej wystarczyło. Powiedziała Normalowi, który wrócił po jakimś czasie z morza i zastał ją w tym miejscu, że już się stamtąd nie ruszy. Odwzajemnił jej się długim, wielodniowym milczeniem. Kiedy oboje byli zajęci walką z powodu różnicy zdań, cała rodzina przeżyła pod kocami najpierw sześć miesięcy zimnych wiatrów, potem upały, a po nich deszcz, który zaczął z lewa i prawa, a także lał prosto z góry. Aż do? Aż do czasu, kiedy zapanował pokój. Norm nie zrobił nic, nawet nie kiwnął palcem, by pomóc Angel Day przy budowie dachu nad głową — jakby to mogło ją w jakikolwiek sposób powstrzymać.

Łapał ryby *brama australis*, jeśli miał na to ochotę, a poza tym pozostawał bierny. Jeśli brakowało ryb, oczekiwał, że to ona zapewni wyżywienie rodzinie, co też robiła. Całe miasteczko popierało tę biedną Aborygenkę, która żyła z dziećmi pod drzewem, stawiając czoło przeciwnościom losu, i potępiało Normala Phantoma. Jeśli myślał, że to się skończy, był w błędzie. Angel Day była sprytniejsza od węża i wykorzystwała litość białych, by móc wtopić się swoją czystą, podstawową esencją w tę ziemię, a w dodatku użyła magii, by stworzyć dom z odpadków.

Zawsze utrzymywała, że miejsce, gdzie zmusiła Normala do dalszej budowy, jest najlepsze z możliwych, ponieważ wystarczyło tylko przejść przez drogę na wysypisko, a można

było mieć wszystko, czego dusza zapragnie — i t o z a d a r m o. Jak każdy prawdziwy biedak uważała wysypisko za coś wspaniałego. Z tego, co mówiła, można by wnosić, że jest bardzo bogata i że nie ma nic przeciwko temu, by chodzić na wysypisko po kilkanaście razy dziennie i znosić stamtąd blachy, kanistry, kawałki karoserii, jakieś sznury, belki, porozrzucane plastikowe zasłony oraz stare ubrania. To dzięki niej rodzina w czasie pory deszczowej była sucha jak pieprz. Podjęła się skrupulatnego sprawdzania przecieków, wprowadzania zmian, wybierania odpowiednich rzeczy ze swego stosu śmieci, które kładła lub wiązała do tych pierwszych koców, aż w końcu rodzina znalazła się w czymś w rodzaju igloo z odpadków. Normalnie martwił się, mówiąc: „Ble!Ble! To czy tamto”. Mówił, że ma wrażenie, iż jego dzieci zniknęły na zawsze między szmatami w ciemnym, nieprzyjemnym wnętrzu. Wciąż też wołał, by stamtąd wyszły — by móc je zobaczyć i żeby nie dały się oszukać przyczajonemu wężowi. Ona nigdy tego nie słyszała. Była zajęta krwią, którą miała na rękach po tym, jak wyjmowała gwoździe z przegniłego drewna. Szóstka dzieci pomagała jej, oceniając gwoździe, śruby i sworznie. Tak mijały miesiące.

Norm wciąż był młody i chciał albo łapać ryby na morzu, albo jeździć na dzikich koniach po pokrytym spinifeksem — trawą o twardych krawędziach — płaskowyżu i zajmować się bydłem. Chodziło mu o prace daleko od domu, w obozowiskach. Och! Były to zaprawdę ciężkie, ale też piękne dni. Kiedy się pracowało przy bydło, jedni dorośli okładali batami innych dorosłych, ale kto by się tym przejmował? Patrzył na te wszystkie nowomodne zajęcia, gdzie z czystego uporu wykupywały się zręby samowystarczalności, i powiedział do żony swoje ostateczne słowa:

— Wracajmy nad rzekę.

Uwielbiał odgłosy czystych wód, toczących się przez skamieniałe lasy ukryte od milionów lat pod szeleszczącymi łagodnie liśćmi palm, a także owocującymi daktyłowcami, które rosły nad rzeką. Ale Angel Day nie widziała już drogi

powrotu. Nie chciała stąd odchodzić. Niech się rozejrzy! Czy nie widzi tego stosu bogactwa, który zgromadziła? Czyżby to wszystko było na próżno?

— Jak mam to wszystko tam przewieźć? — spytała.

Do licha! Czasy się zmieniły, a Angel Day była teraz bardzo bogata i nie miała zamiaru wracać do okresu, kiedy mieszkała, jadła i spała... Gdzie? Z tobołkiem na gołej ziemi? Och! To były te dawne dobre czasy, o których marzył Normal. Bogactwa Angel Day wymykały się z rąk. Miała teraz kilkadziesiąt puszek po pieczonej fasoli Heinza, a także wiele słoików z gwoździami, śrubami i sworzniami. Stała się mistrzynią tego, co nazywano postępowaniem wśród czarnych. Ludzie z urzędu do spraw Aborygenów powiedzieli, że ma zielone światło. Stała się chlubą polityki rządu, a by to udowodnić, zrobiono jej zdjęcia aparatem Pentax, które zostały dołączone do raportu na jej temat.

Starzy mieszkańcy Pricklebush mówili, że Angel Day ma w sobie coś magicznego, co było zgodne z prawdą, ale niestety, nie mogło się nikomu do niczego przydać. Zaczęli więc po cichu mówić, że złapała jakąś chorobę, grzebiąc w cudzych śmieciach. Kto mógł wiedzieć, jakie zarazy czają się w odpadach białych? Śmietnisko było pełne chorób. A ludzie z Pricklebush mówili: „Jeśli ma trochę oleju w głowie, powinna się trzymać od niego z daleka”. Nikt nie mógł skorzystać z jej czarodziejskich mocy, które powodowały, że bardziej przypominała białych.

Jednocześnie nie było sensu zaprzeczać temu, co widzieli na własne oczy — wielkoduszności, jaką Angel Day dostała od duchów, rezydujących w tych cuchnących okolicach, w ponurych, szlamowatych jaskiniach wysypiska. Wyniosli, bardziej myślący mieszkańcy Pricklebush stawali w jej obronie. „Kim był Normal, by mówić, że chce mieszkać gdzie indziej, pod jakąś belką z jedną szmatą nad głową, gorzej niż pies?”. Angel oskarżyła go o to, że rzuca jej śmieciami w twarz. I dodała, że ma nie po kolei w głowie. Kiedy powiedziała mu,

że robi jej się niedobrze, bo on uważa, że powinni odejść i mieszkać jak psy w buszu, odpowiedział:

— Jesteś pewna, że to nie wąż grzeje to miejsce? To nie może być nic innego.

Nie słuchała go, była dzinnem liczącym swoje gwoździe niczym milioner, a niczym królowa mówiła światu, by był na jej rozkazy.

Biedny stary Normal złapał okazję i sam pojechał nad rzekę, a kiedy wrócił wiele tygodni później, Angel Day wybudowała jeden duży pokój.

— Nie możesz wrócić — powiedziała.

Chyba że jej pomoże.

Zaintrygowani starzy ludzie zamknęli usta i szeptali:

— Ma tupet, jak na kobietę.

Ten impas trwał minutę.

— Dobrze — odparł Norm. — Nie zobaczysz mnie przez pięć lat.

Starzy ludzie mówili, że nie należała do zgodnych osób. Tego było dla niej zbyt wiele, tak przynajmniej utrzymywała. Tak więc sprawa była skończona. Normal wyszedł na drogę, wszystkie dzieci płakały. Ona jednak nie zwróciła na to uwagi i zajmowała się gwoździami, jakby w ogóle nie istniał.

Normal Phantom dotrzymał obietnicy. Pojechał nad morze i pozostał tam przez pięć lat. Kiedy wrócił po okresie burz, miał własną małą łódkę rybacką. Odziedziczył po ojcu pamięć morza i podszedł wprost do Angel Day, i powiedział jej prosto w oczy, że gotów jest zostać. Powiedział też, że wiele mają za sobą i nie ma sensu ze sobą walczyć. Po co się męczyć? Poza tym miejsce, które wybrała, znajdowało się teraz niedaleko wyrzuconych przez morze bali. Ona zarzuciła mu, że wraca do domu, śmierząc rybami, co jednak nie powstrzymało ich przed poczęciem siódmego dziecka — Kevina.

Angel szła właśnie na wyspisko, gdzie na martwych liściach, kartonowych pudełkach, zardzewiałym żelastwie, pościętych oponach, różowych torebkach z plastiku i innych

tanich rzeczach siedziały tysiące jej strażniczek — mew, które pilnowały za darmo niezmiernych skarbów.

Było to jej miejsce, a w każdym razie tak jej się wydawało. Inne kobiety z Pricklebush mówiły, że uważa wysypisko za własne, chociaż tak naprawdę należy ono do wszystkich. Och! Rzeczywiście. Trzeba powiedzieć, że czasami lekka bryza robi się kwaśna niczym cytryna, tak jak właśnie tego dnia. Spokój i całkowita nieświadomość sytuacji panowały jedynie w zatoce, gdzie Normal Phantom zajmował się łowieniem ryb. Ci, którzy mimochodem, dla zabicia czasu obserwowaliby go przy pracy, myjącego choćby bok łodzi, byłiby zaurzeczni czystością spokoju i dobrej woli, właściwymi temu prostemu człowiekowi, który poruszał się w coraz cieplejszym słońcu w podwiniętych do kolan i ubłoconych wodą przyplwu spodniach. Była to niespieszna praca, polegająca na oczyszczeniu pokrytych łuszczącą się farbą boków łodzi z wysuszonych rybich odpadków. Normal zastanawiał się, czy nie warto by też pomalować łódki na jakieś wymyślne kolory: krwistoczerwony, niebieski jak u zimorodka czy słonecznikowożółty. Och! Stare dobre czasy. Co za wspomnienie. Przypomnienie tych dni, kiedy można się było popisywać, kiedy mężczyźni byli mężczyznami, w wodzie nie brakowało ryb, a nikomu nie przychodziło do głowy, by kamuflować łodzie odcieniami szarości.

Angel szła do wysypiska, oddalając się od śpiących w łóżkach dzieci. Chciała być sama z mewami, które czekały na straży, podczas gdy inne podlatywały za nią, uderzając cicho skrzydłami. Co pewien czas któraś przelatywała nad jej głową, wydając okrzyki i zdradzając swoje sekrety, wspominając, odmawiając modlitwy znane z poprzednich wcieleń, a następnie nagle wracały do szeregu na *rendez-vous* ze swymi towarzyszkami. Te liczne ptaki, które spędziły noc w gniazdach położonych na niskich, nadmorskich terenach i przyplwowych trzęsawiskach, dołączały teraz do innych, które dzieliły się swoimi zaśmieconymi działkami.

Poranny rozgwar narastał wraz z tym, jak pojawiało się tam coraz więcej rozkrzyczanych mew, kołujących groźnie nad wysypiskiem z rozwartymi szeroko dziobami. Angel przechodziła tamtędy, jakby nic się nie działo. Mgła wciąż była gęsta, a ona zajęła się swoimi sprawami, sortując śmieci z hałd, które pojawiły się w tym miejscu w czasie weekendu.

Ich rozgrzana zawartość wydzielala silny fetor. Jej towarzyski z ochotą rozdierały resztki obiadów ludzi z miasteczka: „Och! Pycha! Ryba z frytkami, steki z frytkami, kielbaski z frytkami”. Angel zatrzymała się, by zebrać wytarte książeczki dla dzieci, i usiadła, by ułożyć w stos te wszystkie historyjki z obrazkami, otwarte tu lub tam i mówiące o przygodach Myszki Miki, Kaczora Donalda, Piotrusia Pana, Kopciuszka, Alicji w Krainie Czarów. Przewracała strony swymi cienkimi, dziecinnymi palcami. Niebieskookie mewy wisiały nad nią w powietrzu i zaglądały jej przez ramię z pełnym lekceważenia zainteresowaniem. Były tak pochłonięte innymi rzeczami, jak ona wymyślonymi odległymi światami mroźnych zim, chłodnych lasów i rajem bogaczy. W końcu ostrożnie ułożyła książki na spodzie worka, by się nie zniszczyły. Miała tu jeszcze coś do zrobienia. Przed nią znajdowały się inne tajemnice, ukryte w pękających, zielonych workach.

Jako że mgła powoli się unosiła, wiedziała, że wkrótce będzie zbyt gorąco, by pracować. Już teraz czuła kłujące promienie słońca. W powietrzu wyczuwało się wilgoć. Zmarszczyła lekko brwi. Wgłębienie u nasady nosa powiększyło się jeszcze, gdy pomyślała o chaosie, który panuje w jej życiu.

Poruszała się z gracją, wspinając się na stos gałęzi, które widziała wcześniej w mieście. To pracownicy urzędu miasta ścinali piłami łańcuchowymi rozrośnięte oleandry, które ukrywały to, co działo się w biurach i domach, należących do tamtejszych ważnych urzędników. Wywożono je potem ciężarówkami, kiedy ci urzędnicy zastanawiali się w chłodzie elektrycznych wiatraczków, czy wznieść w Desperance taki lub inny gigantyczny pomnik. Czy ma to być największa na

świecie butelka piwa, czy największy na świecie miejscowy pijak? Zarzucono w końcu oba pomysły, decydując się na symbole morza. Pojawiły się bardziej ponętne idee: „Wybierzmy największą na świecie rybę barramundi z włókna szklanego albo największego możliwego strzępiela z betonu”. Niektórzy woleli najeżonego stalowymi kolcami dzika na cześć Abilene lub największego byka z ołowiu — brązowego brahmana lub fantastycznego byka Santa Gertrudis z płonąca gwiazdą na czole, która oświetlałaby niczym latarnia główną drogę w miasteczku. Każdy z tych pomysłów wyróżniałby miasteczko. „A co z górnikiem z kilofem?”. Wybór był trudny. Angel Day nie miała pojęcia o toczącej się debacie, bo nikt jej nie mówił o sprawach miasteczka. Pięła się więc na tę miejską górę zieleni, wciąż pewna siebie, gdyż nie poznała tych sekretów. Radni powinni byli jednak zapytać o zdanie ludzi takich jak Angel Day, która często mówiła, że w Desperance brakuje śladów obecności Boga i o tym, iż powinien On swym światłem opromienić drogę przeklętym.

Czuła chłód oliwkowych gałęzi i przywiedłych liści na skórze, więc pracowała, by dobrać się do zielonych worków, które znajdowały się pod spodem. Kiedy znalazła miejsce, które pozwalało na to, by zanurkować pod gałęzie, przysiadła tam w cieniu, ukryta przed światem. Otwierała po kolei worki, sprawdzając, co warto wziąć. Były tam jedynie białe kartki, które, jak przypuszczała, pochodziły z urzędu miasta. Nie czytała ich, bo żal jej było tracić czas na przyglądanie się temu, co winni są mieszkańcy władzom miasta.

Zaskoczyłoby ją to, gdyby nie poczuła się onieśmielona tymi „urzędowymi pismami”. Serce jej biło i palce drżały, kiedy znajdowała te papiery, przeszukując kolejne sterty śmieci. Gdyby wykazała choć trochę zainteresowania i przejrzała urzędowe papiery, być może natrafiłaby na korespondencję dotyczącą jej rodziny i tego, że ich krucha egzystencja znalazła się w kręgu zainteresowań urzędników. Zwłaszcza „dom”, który wybudowała. Ludzie z obrzeży uważali, że jest on bar-

dzo dobry, wręcz świetny, i budowali sobie podobne. „Dlaczego nie mogli poczekać na dotację od rządu?”. Nie ma się co sugerować tym, że chwalono Angel Day za gospodarczą niezależność. Ludzie z miasteczka uznali wymarzony dom pani Day za wrzód na ciele Desperance. Wszystkie baraki wybudowane w buszu będą musiały zniknąć. Te wrzody nie mogą stać tam, gdzie ma się pojawić sen wielkiej świętej Gertrudy. Radni byli zajęci głównie pomnikami z włókna szklanego, stalowych kolców i żelaza, a zużyli mnóstwo atramentu i papieru, by uwiecznić to wszystko, o czym gadali.

Przecież życie jest po to, by sobie z nim radzić, więc po co to jeszcze pogarszać, czytając białe strony? Wiedziała, co biali mają do powiedzenia, wystarczyło tylko na nich popatrzeć, a zwłaszcza na tych, którzy pisali dokumenty. Mówiła, że to głupki.

Im częściej dotykała tych stosów wyrzuconych papierów, zagubiona między nimi, tym większa ogarniała ją melancholia. Traciła nadzieję, że napełni swoją torbę na skarby. Przynajmniej mogła siedzieć w cienistym zakątku pod ściętymi gałęziami oleandrów. Nagle między szeleszczącymi kartkami odkryła duży, stojący zegar z pękniętym szkłem. Odepchnęła ostrożnie papiery. Zegar pochodził z biura burmistrza. Nie mogła uwierzyć własnemu szczęściu: nie tylko odnalazła wyrzucony zegar, ale jeszcze okazało się, że z tyłu został w nim kluczyk do nakręcania. Nakręciła więc zegar i uśmiechnęła się do siebie. Działał.

Przekonana, że urzędnicy wyrzucili go, bo nie pasował do nowoczesnego wnętrza, zaczęła się zastanawiać, co mogłaby usunąć ze swojego worka na ziemniaki. Trzeba podjąć decyzję, decyzję, mamrotała do siebie, przebierając puszki i butelki, by umieścić go w środku. Następnie doszła trochę do siebie po tym nagłym odkryciu i zrozumiała, że tak cenne znalezisko niesie też ze sobą zagrożenie. Wyjrzała ze swego schronu, by sprawdzić, czy kogoś nie ma w pobliżu. Myślała, co by zrobiła, gdyby spotkała tu robotników, którzy wywozili

śmiesi. Oskarżyliby ją o to, że ukradła zegar, i zawieźli prosto do posterunkowego Truthfula. Zaczęła się zastanawiać, czy warto ryzykować, że ją zapuszkują.

W swoim małym schronieniu z oleandrów zobaczyła przed sobą wizję twarzy sędziego pokoju. Przyjdź tu w nocy, powiedział. Przyjdź w nocy, by go zabrać. Rozejrzała się dookoła, zastanawiając się, gdzie ukryć zegar, bo wiedziała, że w nocy buszują tu dzikie świnie. Myślała, czy nie poprosić Norma, by zabrał ją ze sobą, gdy będzie na nie polował, ale nie czułaby się pewnie, chodząc z nim po ciemku. Opróżniła już worek do połowy, by umieścić w nim zegar. Gdyby odeszła stąd bez niego, wyparłaby się swoich marzeń o przyszłości, w której ich dzieci mogłyby nie spóźniać się do szkoły. Nikt z rodziny Phantomów nie musiałby już odgadywać czasu z pozycji słońca. W tym nowym, wspaniałym życiu jej rodzina chodziłaby spać w odpowiednim czasie, zgodnie z zaleceniami szkoły, a potem udawałaby się we właściwym czasie do szkolnych obowiązków.

Umieściła więc zegar w worku i zaczęła się zbierać do opuszczenia swego małego świata z gnijących gałęzi i papierów, kiedy coś jeszcze zwróciło jej uwagę. Najpierw zobaczyła podstawę rzeźby z wypisaną datą: 1947. Pewnie się stłukła, pomyślała, odgarniając liście. Okazało się jednak, że jest cała i przedstawia Matkę Boską. Figurka była stara i gdzieś niedługo odeszła z niej farba. Angel pomyślała, że Norm powinien mieć jakąś farbę, z której mogłaby skorzystać i odmalować zwłaszcza te miejsca na szatach Matki Boskiej, gdzie brakowało srebrnych i złotych linii. Matka Boska miała na sobie białą suknię i niebieski płaszcz. Unosiła prawą dłoń w wiecznie trwającym błogosławieństwie, a w lewej trzymała złote paciorki różańca. Angel Day poczuła, że brakuje jej tchu.

— To moje — szepnęła, nie mogąc nadziwić się swemu szczęściu.

— To moje — powtórzyła, zwracając się w stronę zgromadzonych na oleandrach mew. Teraz musiała zanieść po-

sążek do domu, gdyż wiedziała, że jeśli ustawi go na poczesnym miejscu, nikt nie zdoła odwrócić błogosławieństwa, które spłynie na jej siedzibę. — Odtąd z pewnością zawsze będziemy mieć szczęście — powiedziała do mew, czując, że ma teraz to, co dawało szczęście białym.

Nie tylko będą teraz mogli określać czas i dzielić się tym z innymi członkami swojej społeczności, ale też staną się bogaci. Staną się tacy, jak biali, którzy się modlili i mówili, że są chrześcijanami. Na tym polegała różnica między ludźmi z Pricklebush a mieszkańcami miasteczka. Tak właśnie biali stawali się bogaci: oszczędzali pieniądze, by móc patrzeć na innych z góry, trzymając posążki swoich świętych w domach. Ich duchowi przodkowie dokonywali cudów, gdy widzieli, jak żarliwie niektórzy z nich się modlą, i za to oddanie nagradzali ich bogactwem. Byli oni obdarzeni prorocstwem bogactwa i dlatego należały im się pieniądze. Z tego też powodu byli właścicielami wszystkich firm w miasteczku.

Mewy, które unosiły się z potwornym krzykiem nad wysypiskiem, wydawały się śpiewać hymn: „*Gloria! Gloria, magnificat!*”. Powietrze przesyciła para unosząca się z ziemi, a wszędzie było pełno ptaków, które krążyły w powietrzu albo wylaniały się spomiędzy gałęzi. Rozejrzała się ze strachem dookoła swoimi magicznymi, brązowymi oczami, wypatrując ewentualnych złodziei. Wypatrywała każdego, nawet najmniejszego drgnienia wśród zwałów śmieci. A potem oddaliła się spieszenie, chcąc umknąć przed robotnikami i ich ciężarówką. Nie spodziewała się, by o tak wczesnej porze pojawił się tu ktoś z Pricklebush.

Jej szybki krok poruszył ogólnie spokojne otoczenie, gdzie ludzie z Pricklebush spoczywali pod kartonowymi pudłami, kawałkami blachy falistej, w czterdziestoczworogalonowych beczkach po smole albo poniszczonych cysternach na wodę. Nagle zaczęli wychodzić zewsząd, dźgając i ciągnąc wszystko, i rozrzucając to po ziemi. Dzieci bawiły się w kałużach, ich rodzice plotkowali, inni chodzili z pełnymi torbami.

Angel Day zmierzyła ich wzrokiem niczym królowa i pierwsza zaczęła połajanki.

— Co tak na mnie patrzycie?

Ten głos obracał życie innych w śmieci, nic nieznaczące śmieci. Angel nie poddawała się. Zaczęła wyrzucać z siebie, co tylko przyszło jej do głowy — wykrzyczała to wszystko, co zwykle mówiła koło swego domu.

— Hej, co wy tu robicie?! — wrzeszczała. — Co to ma znaczyć? To nie wasze miejsce. Nie macie prawa tu być. To moja ziemiaaaa! Nie możecie brać stąd tego, co wam się żywnie podoba. A co z tradycyjną właścicielką? — Jej głos rozchodził się wielkimi falami po wysypisku.

Cóż! Większość ludzi słyszała to już wcześniej. Angel Day mówiła o tym, że znowu ma się za nic biednych tradycyjnych właścicieli ziemi. Okazało się jednak, że nie był to jej szczęśliwy dzień, bo ludzie mieli tego dosyć. Było słyhać, jak biorą głęboki oddech. Angel po prostu nie miała wstydu. Była prawdziwą jędzą. Starzy ludzie słyszeli, jak inni to powtarzają, kiedy Angel wciąż przeklinała ich bez najmniejszego powodu, jakby była właścicielką ich życia.

Tyle się wówczas tam wydarzyło. Para oczu nie mogła tego ogarnąć. Ci biedni ludzie byli rozzłoszczeni, a Angel w ogóle tego nie wyczuwała, zresztą tak jak zwykle. Widziała zacięte twarze, złe spojrzenia, ale nic sobie z tego nie robiła. Po paru chwilach w powietrzu nastąpiła eksplozja. Ludzie wykrzyknęli: „Nic na to nie poradzimy, Pani-Bardzo-Ważna!”. Powiedział to ktoś, kto zajmował się tym samym, co ona, chociaż „nie miał do tego prawa”. Spytała wszystkich, jak im się wydaje, kim jest. Zanosilo się na porządną wojnę. Zachrypnięte z rana głosy odpowiedziały tak, jakby ktoś skakał po płucach ich właścicieli: „Jesteś po prostu nikim i tyle”.

Wszyscy zaczęli miotać pytania, kto w ogóle potrzebuje tego śmietniska. Panował tam straszny bałagan. Ludzie zaczęli się kłócić. Ruszyli do przodu, krzycząc na siebie. A po-

tem zaczęli rzucać patykami i kamieniami oraz naigrawać się z tych, którzy usiłowali utrzymać porządek. Nie słuchali siebie nawzajem, bo byli wściekli i nie dbali o ład. Wszyscy mieli już tego dosyć. Dosyć Angel Day.

Pewna gruba kobieta w białej sukience... Cóż! Wyglądała jak białe klify w Dover, i to właśnie ona przede wszystkim krzyczała, wyrzucała z siebie niespójne zdania, jakby w ogóle nie zamierzała przestać. Wyła i pluła, pytając, kim jest Angel Day. „Nikim, nikim i tyle”. Kiedy Angel powiedziała, że wygląda jak tłusta biała świnia, która żeruje na ziemiach tradycyjnych właścicieli, tamta odparła, że załatwi zarozumiałą na dobre. I znowu zaczęła się wojna. Wyobraźmy to sobie. Niepewna współczesność zgnieciona przez drzemającą przez czterysta lat wrogość. Zaczęła to Angel Day z powodu starego zegara i figurki Matki Boskiej. Zapewne wszystkie wojny rozpoczynają się w ten sposób.

Wszyscy zaczęli się zbroić jak w dawnych czasach, wybierając sobie broń z porozrzucanych dookoła śmieci. Dorośli i dzieci biegali dokoła, podnosząc kawałki drewna, żelazne sztaby czy brązowe butelki po piwie, które rozbijali, trzymając je za szyjki. Wszędzie słychać było brzęk tłuczonego szkła. Nawet kiedy już wyblakły wspomnienia tamtych zdarzeń, ten dźwięk wciąż prześladował uczestników walki.

Cóż, trzeba było od razu na miejscu zastanowić się nad ewentualnymi sprzymierzeńcami. Ludzie, którzy przez dziesięciolecia żyli zgodnie, zaczęli sobie przypominać dawne plemienne walki. Trudno w to uwierzyć, ale Angel Day stała tam, nie wiedząc, co się dzieje. Trzymała swój posążek i mówiła wszystkim, żeby wynosili się z jej ziemi. Wokół jej twarzy gromadziły się czarne muszki, ale nie zwracała na nie najmniejszej uwagi. Nikt nie zwracał uwagi na szwadrony much, które pojawiły się na niebie, jakby coś je nagle poraziło. Kiedy się zebrały, zaczął je przyciągać jak magnes mocny zapach ludzkiej skóry i tysiące tych stworzeń bzycało teraz wokół twarzy walczących.

Starzy ludzie wierzyli w równie potężne zjawiska i powiedzieli, że muchy przybyły poprzez wieki, by przyłączyć się do bitwy. Utrzymywali, że duchy nigdy nie dają zapomnieć o przeszłości. Rysowali linie na ziemi, nawołując ludzi, by wyszli z cienia samozadowolenia: „Idźcie tam, gdzie wasze miejsce”. Ludzie musieli czuć chłodną zachętę, która kazała im się zbroić, by dodać nowy rozdział do historii dawnej wojny. Inaczej nigdy nie wiedzieliby, jak walczyli ich przodkowie. To rządy najeźdźców spowodowały, że żyli w harmonii na obrzeżach miast. Działo się tak wszędzie tam, gdzie pojawiały się baraki takie jak ten Angel Day, tworząc coś, co nazwano społecznościami. Dawni ludzie spisywali historie tych wojen na skałach.

Teraz, wiele wieków później biedacy nie mieli niczego wymyślnego, żaden z nich nie poznał w Pricklebush ciężaru wojny, a jednak dźwigali na swoich barkach olbrzymi ciężar. Serce Angel Day było wówczas wielkie i pełne niewiedzy, ale wierzyła, że zastępuje dziadka Normala, który był właścicielem tych ziem. Nikt nie mógł tu przyjść, nie zdradzając powodu wizyty, a z tym, w jej mniemaniu, trzeba się było zwracać do niej samej. Witaa chętnie tych, którzy przychodzili ciężkim krokiem, niosąc dziedzictwo przeszłości skumulowane w swoich kościach. Narastała w niej duma, gdy widziała ludzi z krajobrazami wrytymi w rysy twarzy i świadectwem starożytnego stworzenia, które wypełniało ich zmysły. Strzegła tych wszystkich, których zniszczony duch nosił ślady gwałtów, morderstw i złodziejstwa dokonanego na ich ziemiach. Wraz z upływem czasu wszyscy oni zamieszkali na obrzeżach miasta, żyjąc obok bogatej białej społeczności. Wszyscy przycupnęli przy jeziorze Angel Day na tak zwanych jej ziemiach, którymi rządziła niczym królowa. A ci oswojeni? Cóż! Po prostu ją ignorowali.

Trudno powiedzieć, jak powstały walczące strony, ale kiedy rozpoczęła się bitwa, z żył popłynęła rodzinna krew i spłynęła na ziemię tak jak zupełnie normalna, kiedy przecina się

twarze i członki szkłem, jakby to były wstążki, albo kiedy się przebije ciało żelaznym prętem lub uderzy się kogoś w głowę kawałkiem drewna. Angel Day nie biła się, bo wciąż trzymała posążek, ale zachęcała ludzi do walki. Było to jak zarzucanie kotwicy. „A co z tradycyjną właścicielką?”. Wciąż krzyczała o swoich prawach. Może nie zauważyła rzezi. Kobieta, która wyglądała jak białe klify Dover i która odsunęła się od niej w czasie walki, usłyszała krzyki Angel Day i popatrzyła na nią ze zdziwieniem, a potem opuściła pole walki. Przeszła tam, gdzie stała na początku, i zaczęła jej wrywać posążek.

Dzieci, które płały się między walczącymi dorosłymi, zastanawiały się, co będzie dalej. Biegały jak oszalałe motyle do tych, którzy krwawili albo leżeli bez ruchu na ziemi. Mały Will Phantom pobiegł z braćmi i siostrami do matki, by chronić ją przed grubą kobietą, której oczy wychodziły na wierzch, kiedy walczyła o ochlapaną krwią figurkę. Zachowywała się tak, jakby opętał ją jakiś demon, który miał tylko jeden cel — użyć posążka tak, by zmieść Angel Day z powierzchni ziemi.

Mały William Phantom myślał szybko. Pobiegł do domu tak prędko, jak na to pozwalały jego dziesięcioletnie nogi, wpadł do kuchni i chwycił zapalniczkę ze stołu, a potem biegiem wrócił. Zapalał wszystkie papiery, jakie udało mu się znaleźć. Zapalił też suche trawy na obrzeżach wysypiska, tak że ogień zaczął się rozprzestrzeniać znad niecek z gliną we wszystkich kierunkach. Nad wysypiskiem pojawiły się nabrzmiące czarne chmury. Ludzi otoczył duszący smród palonej trawy i śmieci, wszyscy zaczęli kaszleć. Potem przedzierali się przez gęsty dym, pomagając sobie przy przechodzeniu przez spaloną trawę, i ruszyli drogą, mając po obu stronach gryzący dym. Poruszali się w milczeniu tak szybko, jak tylko mogli. Mijali się, pomagali przetransportować rannych do ich domów. A potem rozproszyli się, gdy w miasteczku zadzwoniono na alarm.

Kiedy czarny dym wzbił się nad wysypisko, wszyscy zaczęli mówić o wielkiej bitwie. Ludzie żalowali tego, że nie zdołali

zabić Angel Day, która przeszła z posążkiem w otoczeniu swoich dzieci do domu. Strażacy, którzy poruszali się jak mu-
chy w smole, utknęli z wozem na błotnistej drodze pro-
wadzącej do wysypiska, jakieś dwie minuty drogi za miastem.

Okolice Pricklebush wokół domu Phantomów były ciche i spokojne, kiedy przyjechała policja, by zbadać całą sprawę. Za nią pojawiła się na piechotę, po pokonaniu zalanej wodą drogi, niemal połowa radnych, którzy twierdzili, że ta sprawa należy do nich. Była to niepotrzebna wyprawa na koszt podatników, ponieważ nikt z mieszkańców okolicy niczego nie widział. „Być może pożar spowodowało jakieś stare polano, które nie wytliło się w czasie weekendu czy coś w tym rodzaju”. Wydawało się to dziwne. Jednak młody policjant Truthful zauważył, że wokół kręci się bardzo wielu rannych. Zaczął więc pytać:

— Co się wam stało?

Jego asysta oczekiwała innej odpowiedzi niż ta:

— To tylko wypadek, panie władzo. Nic wielkiego.

— Nic?

— Tak jest. Nic się tutaj nie dzieje.

— Ale co się stało? — zapytał, by pokazać radnym, jak świetnie sobie radzi.

— A upadłem.

— Jak upadłeś?

— Upadłem.

— Gdzie?

— Upadłem?

— Co?

Niezależnie od tego, o co pytał, odpowiedziom zawsze towarzyszyły gesty.

— Hmm! Och! Cóż. Nie czuję się dziś dobrze. Prawdę mówiąc, fatalnie. Jakbyś był porządnym facetem, zawiózłbyś nas do szpitala.

Koło Truthfula stała kobieta w tym, co pozostało z jej białej sukni. Angel Day podeszła prosto do niej z szeroko

rozpostartymi ramionami i ją uściskała, ale pełno w tym było nienawiści.

Radni i radne szli za Truthfulem, zaglądając do kolejnych domów, patrząc szyderczo w milczeniu i dając sobie nawzajem znaki: ja wiem, a pani rozumie. „Proszę ja kogo! O co mu chodziło, kiedy skakał przez ogrodzenie w nocy?”. Uwaga na familiarność. Do czego to dochodzi, żeby policja nie mogła zapanować nad tymi ludźmi? Truthful, który był bardzo zażenowany brakiem postępów i słyszał szepty za swoimi plecami, zakończył całe widowisko, stwierdziwszy z energią gli-niarza z Fortitude Valley z Brisbane, że aresztuje pierwszą osobę, która wyda mu się podejrzana. Zdezorientowani, tłoczący się wokół radni, którzy starali się unikać jakichkolwiek bliższych kontaktów z ludźmi z Pricklebush, by się czymś przypadkiem nie zarazić, napatrzyli się już na biedę, więc zaczęli podjudzać Truthfula: „Zabrać ich, zabrać ich wszystkich. Cholerne kundły i tak tylko przeszkadzają. Wysłać tych dwóch małych łobuzów do poprawczaka czy w podobne miejsce. Zobaczą wtedy, kto tu rządzi”.

To prawda, że cisza ma płaszcz, gdyż okrywała nim wszystkie te blaszane chaty przez resztę dnia po tym, jak urzędnicy odjechali do swojej pracy. Normal Phantom siedział przy kuchennym stole i spojrzał na Angel złym wzrokiem, kiedy weszła do kuchni. Oboje milczeli. Wiedział już, co się stało. A ona nawet w najmniejszym stopniu nie czuła się z tego powodu winna. Wciąż zajmowała się swoim posązkim: czyściła go, oglądała, sprawdzała pęknięcia i niepomalowane miejsca i brała do swego pokoju rybackie farby Normala. Dzień zmienił się w jeszcze cichszy wieczór, kiedy to nie palono żadnych latarni. Pricklebush narzuciło na siebie całkowitą ciemność pochmurnego nieba.

Normal Phantom wyszedł ze swego domu o świcie i ruszył w stronę łódki. Właśnie wtedy poczuł niepokojącą ciszę, bez-ruch, który trudno było mu umiejscowić, jako że nawet ptaki nie śpiewały. Żadnego śladu jego ptaka.

Spodziewał się odwetu, więc rozejrzał się po gałęziach drzew, chcąc odnaleźć swojego ptaka. Kiedy tak się rozglądał po okolicy, stwierdził, że coś jest nie w porządku: nierzeczywista cisza zastąpiła płacz dzieci i odgłosy kłócących się dorosłych. Phantomowie zostali sami. Inne rodziny przeprowadziły się w ciągu nocy. W zupełnej ciszy wzięły wszystko, co miały, i przeniosły się na drugi kraniec miasteczka. To właśnie wtedy wojna o wysypisko wprowadziła podziały i ludzie musieli opowiedzieć się po którejś ze stron. Ci ze wschodu i ci z zachodu. Phantomowie stracili wszystkich bliskich i drogich sobie ludzi — poza paroma starcami, którzy odmówili przeprowadzki. Nikt inny nie chciał przebywać ani chwili dłużej z panią Angel Day, jak na nią mówili.

Wojna o wysypisko podzieliła mały światek Phantomów i ich rodzin. Wszyscy w Pricklebush, od starca do dziecka, ci ze wschodu i z zachodu, poranieni i nie, zaczęli sobie przypominać wyblakłe opowieści o pradawnych wojnach, które nagle nabrały życia i stały się bardziej rzeczywiste. Wszyscy teraz wspominali kogoś z rodziny, kto musiał odbyć długą pielgrzymkę rozklekotanym samochodem przez olbrzymie tereny, zajmowane przez wiele farm, po to, by dotrzeć do swoich plemiennych ziem i spotkać się ze starymi ludźmi Prawa swego plemienia. Zawsze trudno było ich znaleźć, nigdy nie było ich tam, gdzie powinni być, gdy pojawiali się krewni.

— I cóż, gdzie jest stary White Whiskers?

— A poszedł, o chyba tamtędy.

Wyzwanie polegało na tym, by ciągle być w ruchu, podążać za starcami, którzy przemierzali kraj, odwiedzając przynajmniej tysiąc miejsc, które pamiętali. Był to sprawdzian tego, jak dobrze znają kraj, a dopiero wtedy udawało im się odszukać White'a Whiskersa czekającego gdzieś na nich. Każda rodzina musiała znać historię z przeszłości. Musiała o niej wiedzieć, by trzymać się swoich zwyczajów i odzyskać utracone niegdyś w walce ziemie.

*

Z drugiej strony mieszkańcy Desperance nie mieli teraz pojęcia, dlaczego znaleźli się pomiędzy dwoma obozowiskami Aborygenów, którzy nie tylko przenieśli się na drugi koniec miasteczka, ale w dodatku nie powiedzieli nikomu o swoich planach. Wszystkie te rodziny, które nie chciały znać Phantomów, przechodziły w nocy z hałasem przez środek miasta. Idący na wschód byli bardzo podnieceni i spierali się głośno. „Powinniśmy, nie powinniśmy” — a wszystko to przy wtórze skrobania grubymi kijami o ogrodzenia łańcuchowe, co zwykli robić niektórzy młodzi ludzie. Idący narzekali na ciężar swoich tobołków, natomiast dzieci krążyły zygzakiem po ulicach, śmiejąc się i krzycząc. Jaki sens miało ich uciszanie, skoro biegnące za nimi psy, pobudzone skrobaniem o ogrodzenia, kręciły się przy domach białych z głośnym ujadaniem, a czasami rzucały się na blachę, próbując przeskoczyć na drugą stronę, podczas gdy psy białych próbowały zrobić to samo, tyle że od drugiej strony. Te hałasy nie obchodziły idących. Mieli też oni w nosie spokój mieszkańców miasta. Co tam! Wszystko jedno! Wisiało im, czy obudzeni hałasami mieszkańcy zapalą w środku nocy wszystkie światła i staną w milczeniu w ogródkach, zaszokowani, przekonani, że mają przed sobą jakieś uliczne zamieszki.

Normal dowiedział się wkrótce, co mówią w radzie miejskiej. Ludzie pobudzili się już tego ładnego ranka i wyrzeli ponownie przed domy, jakby w poszukiwaniu porządku, starając się odzyskać poczucie normalności, a główna ulica była normalna, jakby nic tam się w nocy nie stało. Wszyscy, którzy mieli białą skórę, wskoczyli pod prysznice i zaczęli się porządnie myć, bo to właśnie robią ci potężni ludzie, kiedy czują się nieczyści, a potem wszyscy ruszyli do urzędu miasta, by porozmawiać o wydarzeniach minionej nocy.

Wszyscy byli gotowi do walki, jeszcze zanim zaczęła się narada. To był normalny sposób omawiania takich spraw. Nie, nie, żadnemu kolorowemu nie powinno ujść na sucho to niezgodne z prawem zachowanie, kiedy to czarni sprawiali

takie wrażenie, jakby byli właścicielami Desperance. Natychmiast pojawiły się plotki, kogo należy winić za tę sytuację. „To ten cholerny Normal Phantom, wiecie. I co dalej? Ten człowiek nie jest zdolny do tego, by poradzić sobie z własną żoną. Co dalej? Trzeba mu dać porządną lekcję”. Tego roku Normal Phantom nie mógłby już zostać obywatelem roku i chyba na zawsze utracił tę szansę.

Dzwon dzwonił nieustająco chyba przez pół godziny, ale Normal Phantom nigdy nie odpowiadał na jego wezwanie. Kiedy inni z Pricklebush widzieli, że Phantomowie nie przejmują się sprawami miasteczka, również ignorowali dzwonienie. Phantomowie chodzili do miasteczka tylko wtedy, kiedy dzwonienie miało związek z morzem. Normal mówił, że jest to jedyny sensowny powód, by dzwonić, gdyż to, co działo się na morzu, miało wpływ na wszystkich mieszkańców. „Jesteśmy kwintesencją morza, tym, co przynosi ono na ląd”. Jednak tym razem dzwony nie miały związku z morzem, więc nikt dorosły z Pricklebush nie pobiegł, by sprawdzić, o co chodzi.

Tak, było mnóstwo problemów. Problemów związanych z miasteczkiem. Rada miasta odbywała wiele wieczornych spotkań, tak by wszyscy mogli przyjść i powiedzieć, co im leży na sercu. Tak właśnie żyło się w demokracji. Słowem, które najlepiej oddawało to, co działo się w ciasnych pomieszczeniach urzędu miasta, była paranoja. Wszyscy mieli do opowiedzenia jakąś historię na temat Aborygenów, których zauważyli, jak siedząc pod drzewem, myśleli o tym, co by tu podpalić. Niektórzy widzieli Aborygenów, którzy ściągali do miasteczka karoserie samochodów, by w nich zamieszkać. Można ich było znaleźć nawet w niektórych ogrodach. Aborygeni chcieli założyć nowy obóz. Sieć nie zadziałała. Co się z nią stało? Czyż nie miała zabezpieczać przed tego rodzaju naruszeniem integralności ich własnego terytorium?

— Przez czarnuchów? — spytał głosem pełnym optymizmu miejscowy burmistrz. Był to wielki, liczący prawie metr dziewięćdziesiąt facet, z którym nie należało żartować i który

lubił wszystko nazywać po imieniu. Takie miał motto. Jego władza kładła się cieniem na całym miasteczku.

— Przepraszam, panie Bruiser, panie burmistrzu, nie musi pan tego mówić. Chodzi o to, że są oni wrzodem na ciele Desperance, i pytamy teraz, co zamierza pan z tym zrobić?

Stan Bruiser mówił, co myśli, prosto z mostu i był tak popularny, że przez dziesięć kolejnych lat wybierano go na obywatela roku Desperance. „Jest zablokowana”, mówili niektórzy o skrzynce do głosowania, ale niezależnie od tego drobne oszustwo nie było chyba wielkim grzechem, zważywszy na to, że zwolennicy teorii spiskowych rozpowszechniają je bez żadnych dowodów. Bruiser, który miał pięćdziesiąt sześć lat, był bogatym hodowcą bydła i nosił fryzurę oraz baki „na Elvissa”, które farbował na kolor bydła rasy Santa Gertrudis*. Najpierw był handlarzem ulicznym, aż w końcu odmienił swój los dzięki giełdzie australijskiej. Usłyszał w nocy w radiu informację o boomie wydobywczym w latach siedemdziesiątych i następnego ranka za ostatnie pieniądze kupił akcje kompanii wydobywającej cynę, której udało się rozwinąć w zachodniej Australii. Tak więc bardzo szybko stał się bogaty.

Miał szczęście, gdyż dzięki akcjom i dywidendom oraz innym funduszom przestał być kimś, kto jeździ po aborygeńskich obozowiskach umierających miasteczek interioru w dni wypłat, by sprzedawać tamtejszym mieszkańcom najniezbędniejsze do życia przedmioty z zyskiem sięgającym od trzystu do czterystu procent. Można w ten sposób trochę zarobić. Ale jak ktoś bez wykształcenia, ktoś taki jak oni, zdołał zbić taki majątek? To było nienaturalne. Każdy mógłby tyle zarobić, żartował sobie, wystarczyło, że wiedział coś o cenach i mógł bez większego trudu wykupić po okresach suszy farmy z niespłaconymi długami.

Bruiser zawsze podkreślał, że sukces zawdzięcza wyłącznie sobie i ciężkiej pracy dwadzieścia cztery godziny na dobę

* Na czerwono.

przez siedem dni w tygodniu. To zdanie pojawiało się zawsze w jego przemówieniach podczas obchodów z okazji Dnia Australii, Pierwszego Maja, Dnia Pikniku* czy Dnia Pioniera, kiedy to miał prawo zabrać głos, miał prawo wysuwać żądania wobec polityków, których koledzy słyszeli przez telefon jego grzmiący głos w przybranych odświętnie parlamentach z Południa.

Starzy ludzie z Pricklebush powiadali, że pieniądze z piekła są inne, gdyż Bruiser miał nienaturalne blizny, które wyglądały tak, jakby ktoś doczepił mu do skóry jeszcze drugą. Zauważyli, że jej pas biegnie mu lewym policzkiem od czoła i dalej przez całe ciało aż do stopy, a potem z powrotem po plecach aż do czaszki. Czy było to niezwykle? Oczywiście! Wszyscy w Pricklebush tak uważali. Niektóre stare kobiety były bardziej ciekawe od innych i krzyczały, gdy tylko pojawiał się w obozowisku Pricklebush:

— Hej! Jak to się stało, że diabeł nazaczył cię jak strączek?

Bruiser miał uraz na punkcie swoich blizn i nie odpowiadał na te pytania. Opowiadały więc, że nie jest człowiekiem, chociaż nikt, jakże słusznie, nie odważył się powiedzieć mu tego prosto w twarz. Tylko świr mógłby coś takiego zrobić.

Bruiser twierdził, że widział już w życiu wszystko, co jest do zobaczenia, i że ma tylko jedno motto:

— Jeśli nie można z czegoś skorzystać, trzeba to zjeść albo wyjechać, a wtedy na pewno już nam się nie przyda.

Jak zwykle wywołało to wielki aplauz publiczności. Bruiser wyjaśnił, że tak właśnie ma zamiar rozwiązać problem przycupniętych za domami Aborygenów, a potem zaczął klasnąć, zachęcając innych, by zrobili to samo. Powiedział, że rząd powinien zaprząć czarnych do pracy i że napisze w tej sprawie do wszystkich polityków. Wytłumaczył, jak ma wyglądać zatrudnienie. Aborygeni mieli robić to, co on, kiedy musiał zarabiać na swoje utrzymanie.

* Święto obchodzone w Australii w pierwszy poniedziałek sierpnia.

— Żeby zaczęli pracować, trzeba im dać klucze, by mogli zamknąć gdzieś swoje jedzenie i nie dzielić się wszystkim z rodzinami.

Wyjaśnił, że kiedy był handlarzem, ludzie kupowali u niego przede wszystkim klucze.

— Na nich się głównie zarabiano. — Po drugie wyjaśnił: — Trzeba ich zmusić do zrobienia sobie wanien, takich jak dawne, blaszane, tak by się mogli regularnie kąpać. — I po trzecie: — Trzeba ich odesłać na farmy z bydłem, gdzie będą pracować za darmo, tylko za wyżywienie i spanie, to im wystarczy, skoro nie chcą zarabiać i bogacić się jak inni.

Bruiser dostał gorące brawa za swoje przemówienie i po dalszych narzekaniach na rząd, który zdaniem zebranych, nic nie robił, wszyscy zgodzili się, że powinni podjąć bezpośrednie działania. Po tym, jak udało mu się podgrzać atmosferę, Bruiser wraz ze swymi kumplami hodowcami wyszedł na zewnątrz, by odetchnąć świeżym powietrzem, coś przekąsić i wypić, by móc później zakończyć zebranie. Jednak skończyło się na tym, że tak się zalali, że nic już nie miało dla nich znaczenia. Czy na tym polegała jego strategia? Pozwoliło to nowemu urzędnikowi, Libby'emu Valance'owi, którego oskarżano o to, że jest tu obcy i nie rozumie tego regionu wraz z jego wartościami, zająć to miejsce.

Jednak Valance znał się na samorządzie i dostał tę pracę przede wszystkim dlatego, że uważano go za rozsądnego człowieka. Zwrócił się więc do zebranych głosem człowieka wykształconego, który docierał zaledwie do połowy sali, i powiedział, że jako chrześcijanie mają obowiązek zadbać o to, by obywatelom miasteczka nie działo się nic złego. Nic z tego, rozległy się głosy. „A czemu nie zrównać tego całego gówna buldożerami?”. Czemu nie zmiażdżyć obozowiska?

— Cóż, po tym, jak urząd miasta zrobił to ostatnio — wyjaśnił Valance — Aborygeni znowu zaczęli odbudowywać domy, bo nie mieli dokąd pójść.

Więc! Obrady trwały. „Niech gdzieś pójda, przecież musi być takie miejsce, dlaczego w ogóle chcą tu być?”. Ci ludzie z Pricklebush, którzy przybyli na wezwanie, słuchali zadziwieni tym, jak stali się niewidzialni, a Valance ciągnął:

— Dlatego, że mają prawo tu być, tak jak wszyscy inni.

Bruiser, który wszedł do środka, odpowiedział w następujący sposób w imieniu wszystkich znieważonych:

— Ha! Tak myślisz? Więc niech żyją jak wszyscy inni. Dobra! Chodźmy im to powiedzieć.

Któregoś popołudnia przyszła do Norma Phantom na rozmowę niewielka delegacja, złożona z przedstawicieli miasteczka i paru czarnych plotkarzy. Norm już dawno zauważył, że biali obdarzyli go zaszczytnym tytułem przywódcy Aborygenów. Teraz powiedzieli mu, żeby przekazał ludziom, którzy przeprowadzili się z zachodu i zasiedlili stare samochodowe karoserie, że jeśli chcą dalej mieszkać w Desperance, to muszą zacząć żyć jak biali.

— Oni mnie nic nie obchodzą — burknął Normal, wciąż zajęty wypychaniem olbrzymiej krewetki.

W urzędzie miasta pracował Cilla Mooch, Aborygen, który starał się żyć jak biali i korzystał z jednego z tych trwających ciągle programów typu „praca za zasiłek”, które tak bardzo rozprzestrzeniły się na terenie Australii pod hasłami rozwoju ekonomicznego. Stał teraz obok Valance’a i, jak ustaliła rada, miał zabrać głos w tej sprawie. Norm może się spierać z kimś ze swoich. Mochie mówił łamaną angielszczyzną.

— Wiesz no, co oni mówią o tobie i wogóle? Mówić, że ty zacząć te wszystkie nasze obozy. Mówić, że trzeba przestać. Żeby miasto być spokojne. Że ono należy do rady hrabstwa Desperance. Powiedz, żeby tamci się przeprowadzić, żeby wszędzie ich nie być pełno.

— Mówisz jak czarnuch, Moch. Ale nie masz ze mną nic wspólnego, więc mów normalnie po angielsku — mruknął zirytowany Norm, wciąż pochylając się z lupą i wykałaczką nad krewetką. Nie próbował przeprowadzać takich delikat-

nych operacji na innych, ale ta krewetka była wyjątkowa. Bardzo rzadka, gdyż można ją było znaleźć jedynie w kryształowo czystych wodach wąwozów kraju ojców jego ojca. Była też wyjątkowa ze względu na swoją wielkość.

Norm miał nadzieję, że jeśli będzie mało mówił, te uprzykrzone białe mrówki w końcu sobie pójdą i dadzą mu pracować. Ale na to było już za późno. Nie mógł się już tym wykpić.

— Co ty tu robisz, Moochie? — Do pracowni rybackiej weszła pełna gracji Angel Day. Powiedziała, że kręciła się w pobliżu, by sprawdzić, o czym rozmawiają. Oderwała się od figurki Matki Boskiej, którą pomalowała na takie kolory, jakie jej się podobały. Sprawdziła obrazki w modlitewnikach dzieci i po dłuższym namyśle stwierdziła, że wie już, jak odnowić posążek. Poświęcała tej rekonstrukcji cały swój czas i uwagę, więc teraz figurka straciła swój dawny charakter i stała się tą, która pilnuje i troszczy się o ludzi z zatoki. Eksperymenty z farbami i materiałami Norma doprowadziły do tego, że miała teraz kolorową Aborygenkę, która mieszkała nad morzem. Praca zajęła jej parę dni. Nie zauważyła nawet odejścia innych rodzin i nie uwierzyła, że to możliwe, kiedy mąż oskarżył ją, iż to ona spowodowała ten exodus.

— Jak poszli, to wrócą — stwierdziła kategorycznie, a potem powtórzyła to delegacji z miasteczka, która przysłała do Norma. Jej zdaniem nie będą mieli środków na to, by założyć obóz po drugiej stronie miasta. — A może ktoś mi powie, skąd wezmą wodę? Nie ma tam kranów? Nie ma! Więc skąd wezmą wodę? — Spojrzała lodowatym wzrokiem na delegację, czekając na odpowiedź, a kiedy nikt nie odważył się nawet na nią zerknąć, westchnęła ciężko i przystąpiła do ataku. — Czym wy się w ogóle przejmujecie? Czemu jesteście tacy głupi? Jak ma się trochę rozsądku, to trzeba myśleć. Szybko się zmęczą i pochorują, jak będą musieli wozić wodę z drugiego końca miasta.

Delegacja przestała zwracać uwagę na Norma i zwróciła się w stronę Angel Day, która zaczęła wciągać ją coraz głębiej

w dyskusję na temat wody dla wycieczkowiczów, jak ich nazywała. Normal był pod wrażeniem jej umiejętności zwodzenia ludzi. Delegacja patrzyła na Angel Day ze zdumieniem wypisanym na twarzach jej członków. Skąd ona zna to słowo, zastanawiał się. Słowo „wycieczkowicz” nie należało do języka Pricklebush.

Niektórzy członkowie delegacji zaczęli mówić o tym, że nieśli krzyż, by Jezus miał ich w swojej opiece.

— Modliliśmy się, by Bóg nam dzisiaj pomógł, i nieśliśmy duży krzyż, by był nam tarczą.

Ci, którzy nosili krzyżyki na szyjach, na potwierdzenie swoich słów wyjęli je teraz, jakby ten gest miał dać im ciepło i zabezpieczyć przed Bożym gniewem, który, jak przypuszczali, unosił się nad domem Normala Phantoma. Do licha! Zrobiło się gorąco. Angel nigdy nie bawiły te religijne gesty, które służyły ludziom z miasta do osiągnięcia swoich celów. Normal patrzył, jak wróciła biegiem w głąb domu, i słuchał wraz z innymi kroków na blaszanej podłodze korytarza. Potem nagle znowu wpadła do pracowni, ściskając w dłoniach posążek, który następnie wzniosła w górę, obtańcowując delegację jak gołąb w czasie godów. Widok był porażający. Delegacja była zaszokowana takim brakiem szacunku dla swojej religii. Wszyscy wodzili oczami za aborygeńską Matką Boską, która przepływała obok, co jakiś czas podskakując. Normal się tym nie przejmował. Starał się skupić na pracy, gdy jeszcze pozwalało na to światło. Wiedział, do czego zdolna jest Angel, a przynajmniej tak mu się wydawało.

To, co miała do powiedzenia, było długie i trudne:

— Moja rodzina jest przyzwoita. Nikomu nie sprawiamy kłopotu. Więc czemu wy ciągle kłopotcie nas swoimi problemami? Mówię wam, że nie będę tego przyjmować spokojnie. Nie chcę was tu widzieć, wy mordercy. Nie chcę, żebyście nachodzili moją rodzinę, słyszycie? Żebyście ukrywali osobę, która kiedyś próbowała nawet mnie zabić, i inne zbrodnie. Jeśli tu znowu przyjdziecie — urwała, żeby się

zastanowić — powiem wam, co zrobię. Tak. Oskarżę was przed sądem o próbę morderstwa. Odwołam się do rady do spraw Aborygenów. Powiem w sądzie, że urzędnicy z miasta byli zaangażowani w spisek przeciwko mnie, że chcieli zabić moje nienarodzone dzieci i że szkodzili tym, które się urodziły. Bóg jeden wie, że nie śpimy w nocy z powodu zmarwień. Nie wiem, ile macie pieniędzy w banku, ale będziecie musieli za wszystko zapłacić. Być może wydacie wszystkie pieniądze miasta. Odbyłam już zamiejscową rozmowę telefoniczną z moim prawnikiem, który powiedział, że to może być niezły pokazowy proces, by zobaczyć, jak pójdą inne. Mam dowody nie do podważenia, i co wy na to?

Członkowie delegacji popatrzyli na siebie w blasku błyskawic, pochodzących z chmury, która przyniosła przedwczesny zmierzch. Byli zaszokowani niczym srebrne ryby, które wyłowiono z wody.

Normal pamiętał, że Angel Day zachowywała się obsesyjnie od momentu, kiedy wzięła w swoje dłonie figurkę. Ustawiła ją nawet w sypialni, tak by patrzyła na ich łóżko i chroniła przed złymi snami, więc nie chciał tam spać. Zmusiła go do tego, by zamieszkał w pracowni rybackiej, którą teraz zajęła wraz z członkami delegacji, wykrzykując swoje argumenty. Papuga kakadu zaczęła krzyczeć, krążąc wśród burzy nad domem. Potem w dodatku odezwały się świerszcze, które pobudziła burza. Uszy aż bolały od tych obcych, wysokich dźwięków, które przypominały oratorium Haendla w pełnej orkiestracji. Delegacja słuchała tego przez jakiś czas i ta dziwna, ostro brzmiąca improwizacja odniosła swój skutek, bo jej członkowie zaczęli w pośpiechu i bezładzie opuszczać dom, przechodząc przez poznaczony kałużami korytarzyk z blachy.

Normal, który stał się częścią tej sceny we własnym domu, pomagał zdezorientowanym ludziom wyjść na zewnątrz, skąd ruszyli błotnistą drogą do miasteczka w nadziei, że nie pogubią się w ciemności. Działo się to do chwili, gdy nagle pojawił

się pijany w sztok burmistrz Bruiser, który wpadł w złość i zaczął krzyczyć przed drzwiami do kuchni, że nie pozwoli, by czarnuchy mówiły mu, co ma robić w swoim własnym miasteczku.

Bruiser zauważył Angel Day, która w środku wciąż wykrzykiwała coś na temat prawników, i zaśmiał się po pijacku.

— Ta kobieta lubi, jak ją przyprzeć do muru. Lubisz to, co Angel? — Zaczął się drażnić z nastawionym po chrześcijańsku Valance'em: — Idź, spytaj, czy możesz ją przelecieć? — Kiedy ten go zignorował, burmistrz zaczął się przechwalać, jak ścigał ją na koniu wzdłuż strumienia, aż w końcu jej chude nogi odmówiły posłuszeństwa. — Och, nie bądź nieśmiała! Na pewno mnie pamiętasz.

Wszyscy w miasteczku pamiętali jego opowieści o tym, jak wielokrotnie ścigał wszystkie okoliczne Aborygenki, aż w końcu udawało mu się je zgwałcić. Chełpił się, że oznakował je wszystkie niczym bydło.

Angel Day wyszła z domu z kociołkiem pełnym wrzątku i chlusnęła nim w stronę, skąd dobiegał głos, ale chybiła. Wróciła do domu i członkowie delegacji słyszeli, jak miota się po kuchni i krzyczy, że szuka noża, by móc poderżnąć Bruiserowi gardło. Ci członkowie delegacji, którzy pozostali, tkwili zażenowani w deszczu. Następnie z domu wybiegł Norm z nożem do ryb i zaczął grozić burmistrzowi.

— Mam to, żeby cię uciszyć, ty psie! — krzyczał.

Wymachiwał nożem, aż Bruiser zaczął się cofać przez błoto. Wciąż jednak wrzeszczał:

— Wrócę tu jeszcze, żeby cię załatwić, Norm!

Po tych słowach podwórko zalały ogłuszające krzyki mew, a potem rozległ się grom, więc wszyscy spojrzeli w górę. Kiedy błyskawica przecięła ciemne niebo, zobaczyli tysiące mew, które unosiły się nad domem Phantomów i dalej, nad drogą do Desperance.

W tych czasach, gdy ludzie pragnęli zgody, tego dnia nie było na nią najmniejszych szans. Nieliczni członkowie dele-

gacji ruszyli w stronę miasteczka, z głowami popuszczanymi jak mewy w czasie ulewnego deszczu, byle tylko dalej od problemów Pricklebush. Co jakiś czas ktoś mówił Bruiserowi, żeby się opamiętał, bo nikt nie chciał ryzykować życia w tym potwornym domu, który przypominał ruinę. A on szedł wraz z innymi po kolana w błocie, nie mogąc się uwolnić od ich upokorzenia.

Angel Day nie zamierzała się ugiąć, chociaż Normal ciągnął ją do domu, ale ona ciągle mówiła o spisku, a jej usta były niczym wyrzutnie przylądka Canaveral i wciąż wychodziły z nich oszczerce prawdy i półprawdy, które leżały się w każdym zakamarku i szczelinie jej umysłu. Wszystkie były wymierzone w Bruisera, który oddalał się od domu. Normal mógł uderzyć ją mocno w twarz. Wszyscy go do tego podbechtywali: „No dalej, dalej, powiedz jej, kurwa, żeby się zamknęła”, ale on się uspokoił i tylko trzymał mocno w dłoni nóż do ryb. Co za gospodyni. Angel Day to było zbyt wiele dla spokojnego mężczyzny, który chciał tylko zajmować się krewetką.